

ŻEBY TĘ JEDNĄ SROKĘ (ALE NIE KUKUŁKĘ!) ZA OGON
(List, którego nie napisałem i nie wysłałem, bo nie byłem pewien, do której z nich go nie napisałem i nie wysłałem)

Zauważ dziwną zbieżność: John Lennon + Paul McCartney = John Paul II (czyli "dwa+jeden"), ale od Lola Kremówki nauczyłem się dużo mniej niż od John'a i Paul'a – ot tylko tyle, jak nie należy umierać.

Jeżeli już zacząłem pisać do Ciebie długi list... i to nie jakiś tam zwyczajny list, którego zawartość limitują wymiary zakichanej kartki papieru, ale jedyny w swym rodzaju *list spowiedź*... - jednak bez prośby o rozgrzeszenie - to będę się starał, żeby to co tu napiszę było w miarę bliskie prawdy. Prawdy? Mojej prawdy. Prawdy na jaką mnie stać. Na przekór temu, że nie bardzo wiem co to jest prawda.

Jasna sprawa, że nie mamy do czynienia z grafomańską hołotą. Nie będziemy rozbijać jaj na drobne i brandzłować się bezsensownymi dociekaniem "jak", "po co", "dlaczego". Żeby Ci jeszcze bardziej zakałapuścić w łepetynie powtórzę swoje stare, ulubione: *Co jest w miarę ważne i dlaczego?*... a nawet (ponieważ stan lekkiego ualkoholizowania dodaje mi odwagi): *Co jest do cholery naprawdę ważne.*

Zacząć trzeba tradycyjnie. Miejsce i czas akcji: Tu? A może wszędzie? Teraz? A może zawsze?

Nie, w ten sposób nie ruszymy z miejsca

Inaczej...

Jeżeli już zacząłem pisać list do Ciebie, po tych, którzy już dawno... to oddajmy im należną cześć: Lord Jim, Oliveira, Swann, Judasz Iskariota, Genezyp Kapen, Kubuś Puchatek & co., Hamm, Salomon i inni.

(***)

Ponieważ wina nam nie brakuje, zajmijmy się projekcją naszych najskrytszych marzeń:

Stary, duży dom z końca zeszłego, a może początków XX wieku - bo jest i telewizor, i ogrzewanie na gaz, i różne młynko-miksery, jak również elektroniczny budzik, pralka automatyczna, zmywarka, toster i komputer, etc.

Ale ściany odrapane. Owszem w łazience jest ciepła woda, ale rury na wierzchu, a spuszczenie wody w sedesie wywołuje hałas jak ryk wodospadu – oj, Niagaro Ty Moja, Niagaro!

W tym domu jest ciepło i pachnie przeszłością. Znaną przeszłością. Znana przeszłość to dzieciństwo i młodość... Jakże to wszystko szybko minęło. Salon pachnie kawą, koniakiem, dymem papierosowym i pastą do podłogi.

Siedzimy we dwójkę w starych, podniszczonych, ale bardzo wygodnych fotelach...

Na dziś wystarczy.

(***)

Powinienem chyba napisać do Ciebie bardzo długi list, w którym spokojnie, punkt po punkcie przedstawiłbym Ci moją wersję naszych wspólnych lat. I chyba kiedyś tak zrobię, bo pomimo iż nie czuję się winny, zdaję sobie sprawę z tego, że coś tu nie gra i jedno z nas winno o *winie* lub jej braku przekonać tę drugą osobę. Lub przebaczyć ... i prosić o wybaczenie?

Cóż o winie winno się pisać przy *winie*. Co właśnie robie. Twoje zdrowie!

Jestem już dużym chłopcem, na tyle dorosłym, żeby w miarę trafnie ocenić siebie i swoje miejsce wśród (bardzo górnolotnie!) ludzi, czasu i świata.

Jakże zazdroszczę, tym którzy potrafią z (niezmaconą żadnym zwątpieniem) pewnością siebie upieścić się przy swoim zdaniu. A może nie zazdroszczę?

Jakże mi imponuje... – a może mi wcale nie imponuje? - zdecydowana obrona poglądów, nawet wtedy, gdy argumentacja nie jest zbyt logiczna, za to pozbawiona wdzięku: “Wiem że tak jest i na tym stoję!” Iluż z nich czyni tak bez zmruczenia oka i wszystko jest dla nich proste, jasne i oczywiste. I ta cudowna zdolność rozróżniania kolorów, które jak z filmów Disney'a: trawa zielona, kapturek i nos Mikołaja czerwone, zaś *sky is blue*. A przecież trawa w rzeczywistości wcale nie taka zielona. Im bardziej poznajemy trawę tym większą ilość barw w niej odkrywamy. No tak, ale tą drogą można dojść do wniosku, że trawa czasami czerwona (np. w narkotycznej halucynacji), a przecież tak naprawdę to ta cholerna trawa jednak zielona..., ale przecież i ta druga droga, przez purpurę trawy, potrzebna bo... etc., etc. ... a w dodatku Antonioni w którymś ze swoich filmów trawę malował ..., a ponoć i na Gierkowskie wizytacje, trepy szwejnom kazali trawę nieco podkolorować.

Wyświechtany w zadaniach z fizyki *obserwator* znajduje sobie jakiś punkt odniesienia. I my szukamy zasad, praw, wartości, etc. porównujemy się z innymi mijając słupki z wypisaną liczbą pozostałych nam do przebycia kilometrów, dni, cierpień.

W sporcie rzecz prosta: stoper, taśma miernicza, siatka bramki lub poprzeczka, etc. dzielą wynik na czarne lub białe. Białe wygrywa, czarne przegrywa. Wystarczy jednak pomyśleć o szachach - czasami wygrywają czarne. A co dopiero gdy w grę wchodzi piosenka, książka, film...

"Gdy wiedza bojaźliwa stoi i zastanawia się, zuchwała ignorancja dokonuje czynu" - S. David.

Wiatr wieje. Nie mogę zasnąć. Boli mnie trochę zęb. Za parę tygodni zacznę trzydziesty trzeci chrystusowy.

Najbardziej brakuje mi moich dawnych, nieskomplikowanych i uczciwych marzeń.

Zniknęły moje marzenia. Pozostała rezygnacja i niepewność. Głowę mam bardziej wypełnioną niż przed laty, ale bałagan w niej coraz gorszy. Wiele spraw rozpoczętych i niedokończonych. Szamocę się w tym zagraconym lamusie. Zamiast coś ułożyć, uporządkować dorzucam nowe manele. Bardzo, bardzo złe są wątpliwości, a ja mam ich zawsze sporo na podorędziu. Nie umiem określić swojej wartości, znaleźć swojego miejsca Nie potrafię ułożyć rozsądnego i realnego planu na przyszłość, który mógłbym w miarę, daj boże, konsekwentnie realizować. Wieczna prowizorka i improwizacja - czekanie na cud. Najgorsze jest to, że w swojej samoocenie miotam się nie w pobliżu jakiejś określonej wartości lecz między wielowymiarowymi skrajnościami – nie schizo- ale polifrenia.

Bo z jednej strony po tym co przeżyłem to fakt, że jeszcze jako tako funkcjonuję jest sukcesem i rokuje nadzieję na pełną wygraną; i jeżeli rzeczywiście tak jest to należy wybrać wariant *najśmielszy*. Z drugiej strony moje "drobne", beznadziejne potknięcia sprawiły, że sytuacja w jakiej się obecnie znajduję jest dużo gorsza od przeciętnej, jaką uzyskują faceci z moim backgroundem. Upadek, po którym podnieść się można tylko bardzo ostrożnie, z nisko spuszczoną głową.

Zamiast przed zaśnięciem lub w drodze do pracy układać sobie - w zależności od humoru - plan na jutro, na tydzień, na całe życie etc, mączę sobie w głowie jakimiś nedorzecznymi monologami, opowiadkami, które sam sobie wymyślam, którymi tylko ja się bawię, z których nie ma żadnego pożytku oprócz głupawego uśmiechu na mojej paszczy – ubogi krewny „Billy Kłamacz” Schlessinger'a.

Ach te moje nedorzeczne myśli! Tylko mnie rozbijają i niszczą. Prawdopodobnie ta ich nieustanna gonitwa bierze się z moich kłamstw. Tak długo żyłem w kłamstwie. Oszukiwałem nie tylko innych, ale - przede wszystkim - samego siebie. Przez to stworzyłem sobie fałszywy obraz świata i mojego w nim miejsca.

Po co to robiłem? Żeby zaimponować innym? Czy może sobie? Połechtać swoją próżność? Obrona przed wstydem, przed kompleksami? Ale jakie ja mam do diabła kompleksy! No właśnie, może w tym problem, że nie mam. I przez to ta niczym nieuzasadniona pycha i kretyński narcyzm.

Ileż to razy mówiłem sobie; "Uszy do góry, nie jest źle, a ty Kaziu jesteś wspaniały." To też było oszukaństwo. Być może, żeby wrócić do słodkiego ukojenia potrzebne mi parę sukcesików. Ot dobry projekt jakiegoś mostu, znajomość francuskiego.

Najprawdopodobniej 90% naszego życia jest chybione, złe, męczące, błędne, pełne cierpień, bólu, wątpliwości, etc. Może tylko 10 % jest OK? Dzięki temu, że w życiu tyle negatywnych, paskudnych chwil, zmuszeni jesteśmy do oszukiwania się przez szukanie odpowiedzi nt. sensu życia, a dalej: pragmatycznych rozwiązań różnych nudnych i tuzinkowych koncepcji.

(***)

Jeżeli założymy, że ja jakąś filozofię życia posiadam, to na razie nadziałem się głównie na ludzi o diametralnie różnej od tej mojej, pozał się boże, filozofii.

Skąd się bierze w przyrodzie tyle tego kurestwa?¹ Źle, bo w dużym stopniu jestem od nich zależny. Wiem że powinienem stulić ryja i nie próbować ich „oświecać”, ale starać się by mnie polubili. Kiepskie bunty niecierpliwego pedagoga nic tu nie pomogą. Żeby wśród nich przeżyć trzeba być:

- 1) Silnym
 - 2) Świadomym czego się chce
 - 3) Udawać i oszukiwać
 - 4) Trzymać mordę na kłódkę
 - 3) Wierzyć w to, że jest się godnym podziwu i szacunku
- ...a przede wszystkim być dobrze ubranym.

No ale ja tak nie umiem. Nie potrafię być uśmiechać na żądanie.

(***)

Moje rozmowy z taksówkarzami:

Wsiadałem do taksówki i podawałem adres w odległej dzielnicy w okolicach, gdzie łatwo było o złapania następnej taksówki. Musieli mnie słuchać i włączać się do dyskusji, której temat narzucałem JA. W przeciwnym razie, jeżeli np. okazał się burkliwy i nie mogłem zmusić go do rozmowy, zatrzymywałem pod byle pretekstem taksówkę i wysiadałem regulując rachunek. Bez napiwku. Teraz pytam się:

- Gdzie jestem? Kim jestem? Jak do tego doszło, że jestem właśnie tu i właśnie takim i czy rzeczywiście jestem "tu i takim"?

Krążę wokół starych pytań:

- Po co? Dlaczego?

I odpowiadam na te pytania najbardziej sensownym z tego rodzaju pytań:

- I co dalej?

(***)

Od dawna myślałem często o tym, że winien jestem Ci jakieś wyjaśnienie. Nosilem się z zamiarem napisania długiego listu, ale z kilku - niby błahych, ale może i zasadniczych powodów - nie udało mi się czegoś takiego wysmażyć. Nie miałem czasu, nie byłem przekonany o sensowności wyjaśnień w formie listu, nie wiedziałem nawet do kogo mam napisać list.

Pewnego dnia kupiłem w kiosku ten cienki zeszyt i w niejasnym poczuciu obowiązku zacząłem gryzmolić list do Ciebie:

"A wszystkie te nieszczęścia przez ich nieuczciwość. Bez przerwy muszą oszukiwać.

Podejrzewam, że tak naprawdę zaczęło się od Tamtego z Łopatą.

Pomyślisz pewnie, że jestem szalony, bo tylko człowiek niespełna rozumu może wpaść na coś takiego:

Zrobili agreement:

- Zleziesz tam, zrobisz rewolucję i nic się nie bój, bo jak zaczną być gorąco zabierzemy cię do helikoptera i chodu.

Nafaszerowali mu lepetynę dobrą literaturą, a że był człowiekiem szlachetnym [czytaj: łatwowiernym, naiwnym] i inteligentnym tyknął to wszystko gładko i uwierzył. Zgodził się.

¹ <https://www.youtube.com/watch?v=FAg1zjDnN8k&feature=youtu.be> - Maklakiewicz i kukułka

Jack London wielkim, ale niedocenianym pisarzem jest:

„Gdy zastanawiam się nad życiem ludzkim, bezustannie dochodzę do przekonania, że najważniejszą w nim jest, była i będzie - dla mnie i dla każdego mężczyzny - kobieta. Nie zmieni się to dopóki lśnić będą gwiazdy na niebie, a niebios trwać w swych prawach. Więcej niż nasza praca, wszelkie wysiłki, fantazja i wynalazki, bitwy, marzenia, tajemnice i zagapienia w gwiazdy - zawsze znaczyła kobieta. Nawet gdy jej śpiew brzmiał fałszywie, (...) ofiarowała mi najpiękniejsze dni i noce, największą pełnię życia. (...) Każde me dzieło i każda idea z niej były zrodzone i do niej wiodły, ona jaśniała w każdym śnie i w marzeniach.

Dla niej skonstruowałem kowadło i młot, dla niej zastawiałem sidła na ostrokła, oswajałem konia, zabijałem mamuta, pasłem renifery i przemierzałem lodowce. Dla niej uprawiałem zboża i zbierałem plony, umierałem na wierzchołkach drzew, przetrzymywałem oblężenia w jaskiniach skalnych i na wałach ziemnych. Dla niej umieściłem na niebie dwanaście znaków. Czciłem ją, oddając pokłon dziesięciu kamieniom i wielbiąc je jako księżycowe miesiące ciąży.

Kobieta zawsze tuliła się do ziemi jak kuropatwa, gdy ukrywa swe pisklęta pod skrzydłami; bezmyślność mej włóczędzy potrafiła sprowadzić na proste drogi, moje gwiazdziste ścieżki zawsze zawracały do niej, ku wiecznie trwającej postaci, ku Jedynej kobiecie, której ramiona tak mi były niezbędne, że w ich objęciach zapominałem o gwiazdach.

Dla niej żeglowałem po morzach i oceanach, przenosiłem góry, pokonywałem pustynie. Dla niej polowałem i odznaczałem się w bitwach. Dla niej i do niej śpiewałem, opiewając swoje własne czyny. Dzięki niej zrozumiałem czym jest ekstaza i rozkosz życia.

Teraz, u kresu mej ziemskiej wędrówki, mogę wyznać, że nie znałem większego ciepła niż to, które znajdowałem w zapomnieniu, gubiąc się w przepychu jej wonnych włosów. (...)

Siedzę teraz w celi, w letnie ciepłe popołudnie, gdy muchy brzęczą leniwie i myślę o tym jak niewiele czasu mam jeszcze przed sobą. Już wkrótce ubiorą mnie w koszulę bez kołnierza...

Lecz, cicho, serce. (...) Przejdę przez ciemność i wrócę na ziemię, do kobiety. Tajemnica przywoła do mnie towarzyszkę mych przyszłych wcieleń. I chociaż gwiazdy krążą po niebie, kobieta trwa zawsze, przepiękna, wieczna, jedyna kobieta. Podobnie jak i ja, w każdym przebraniu i w każdym żywocie, jestem jedynym mężczyzną, jej towarzyszem.”

“And yet, as I calmly consider it all, I conclude that the greatest thing in life, in all lives, to me and to all men, has been woman, is woman, and will be woman so long as the stars drift in the sky and the heavens flux eternal change. Greater than our toil and endeavour, the play of invention and fancy, battle and star-gazing and mystery—greatest of all has been woman.

Even though she has sung false music to me, and kept my feet solid on the ground, and drawn my star-roving eyes ever back to gaze upon her, she, the conserver of life, the earth-mother, has given me my great days and nights and fulness of years. Even mystery have I imaged in the form of her, and in my star-charting have I placed her figure in the sky.

All my toils and devices led to her; all my far visions saw her at the end. When I made the fire-drill and fire-socket, it was for her. It was for her, although I did not know it, that I put the stake in the pit for old Sabre-Tooth, tamed the horse, slew the mammoth, and herded my reindeer south in advance of the ice-sheet. For her I harvested the wild rice, tamed the barley, the wheat, and the corn.

For her, and the seed to come after whose image she bore, I have died in tree-tops and stood long sieges in cave-mouths and on mud-walls. For her I put the twelve signs in the sky. It was she I worshipped when I bowed before the ten stones of jade and adored them as the moons of gestation.

Always has woman crouched close to earth like a partridge hen mothering her young; always has my wantonness of roving led me out on the shining ways; and always have my star-paths returned me to her, the figure everlasting, the woman, the one woman, for whose arms I had such need that clasped in them I have forgotten the stars.

For her I accomplished Odysseys, scaled mountains, crossed deserts; for her I led the hunt and was forward in battle; and for her and to her I sang my songs of the things I had done. All ecstasies of life and rhapsodies of delight have been mine because of her. And here, at the end, I can say that I

have known no sweeter, deeper madness of being than to drown in the fragrant glory and forgetfulness of her hair.

One word more. I remember me Dorothy, just the other day, when I still lectured on agronomy to farmer-boy students. She was eleven years old. Her father was dean of the college. She was a woman-child, and a woman, and she conceived that she loved me. And I smiled to myself, for my heart was untouched and lay elsewhere.

Yet was the smile tender, for in the child's eyes I saw the woman eternal, the woman of all times and appearances. In her eyes I saw the eyes of my mate of the jungle and tree-top, of the cave and the squatting-place. In her eyes I saw the eyes of Igar when I was Ushu the archer, the eyes of Arunga when I was the rice-harvester, the eyes of Selpa when I dreamed of bestriding the stallion, the eyes of Nuhila who leaned to the thrust of my sword. Yes, there was that in her eyes that made them the eyes of Lei-Lei whom I left with a laugh on my lips, the eyes of the Lady Om for forty years my beggar-mate on highway and byway, the eyes of Philippa for whom I was slain on the grass in old France, the eyes of my mother when I was the lad Jesse at the Mountain Meadows in the circle of our forty great wagons.

She was a woman-child, but she was daughter of all women, as her mother before her, and she was the mother of all women to come after her. She was Sar, the corn-goddess. She was Istar who conquered death. She was Sheba and Cleopatra; she was Esther and Herodias. She was Mary the Madonna, and Mary the Magdalene, and Mary the sister of Martha, also she was Martha. And she was Brünnhilde and Guinevere, Iseult and Juliet, Héloïse and Nicolette. Yes, and she was Eve, she was Lilith, she was Astarte. She was eleven years old, and she was all women that had been, all women to be.

I sit in my cell now, while the flies hum in the drowsy summer afternoon, and I know that my time is short. Soon they will apparel me in the shirt without a collar. . . . But hush, my heart. The spirit is immortal. After the dark I shall live again, and there will be women. The future holds the little women for me in the lives I am yet to live. And though the stars drift, and the heavens lie, ever remains woman, resplendent, eternal, the one woman, as I, under all my masquerades and misadventures, am the one man, her mate."